PLACÓWKA

ORGAN PEOWIAKÓW OKRĘGU ŚLĄSKIEGO

„PRAWDĄ I PRACĄ“

Nr. 11	Katowice 1937 — Listopad	Rok II

J. Grzegorzek.

Święto Niepodległości i Zjednoczenia Polski.

„I wielki będzie lud — i zwycięzców będzie szumiał pieśnią — i w ekstazie mocy na orlich skrzydlach będzie się kołysał lud —“.

Herbaczewski.

*

W trzech państwach zaborczych, w Rosji, Austrji i Prusiech, od roku 1772 aż do roku 1918 istniały milionowe rzesze ludności, które uważano za obywateli drugiej klasy. Byli to Polacy. W czasie tej półtora wieku trwającej niewoli postępowanie zaborców wobec Polaków było bezwzględne, czasem wprost okrutne. Na Śląsku Górnym od czasów Fryderyka II., autora rozbiorów Polski, Prusacy dali się ludności polskiej ciężko we znaki podczas ubiegłego wieku i aż do wybuchu Wielkiej Wojny. Twardą niewolę znosili pod berłem pruskiem również nasi bracia Wielkopolanie i rodacy zamieszkujący ziemię pomorską. Nie lepiej powodziło się Polakom w zaborze rosyjskim i austriackim. Ucisk polskości był powszechny. Zaborcy dążyli do tego, żeby cały naród polski wynarodowić, rozumieli bowiem doskonale, że dopiero wtenczas, gdy naród nasz zniknie z powierzchni ziemi, zagrabione przemocą prowincje polskie staną się dla nich trwałą zdobyczą.

Naród polski jednakże od czasów upadku Państwa dążył stale i uporczywie do przywrócenia Polsce niepodległości. Byli obywatele, którzy nie zakładali rąk bezczynnie i zabrali się do dzieła. We wszystkich trzech zaborach Polacy kilkakrotnie w zbrojnych powstaniach walczyli za niepodległość Ojczyzny. Niestety, powstania upadły, a uczestnicy tych walk wyzwoleńczych, wyparci z kraju, zaludniali mroźny Sybir, inni uchodzić musieli za granicę, gdzie bieda codziennie pukała do drzwi nieszczęśliwych tułaczów. A jednak nawet w tem ciężkiem położeniu, na wychództwie Polacy nie wpadli w beznadziejną rozpacz, lecz gotowi byli na nowy trud krwawy, jak o tem świadczy odezwa Komitetu Narodowego w Paryżu „do wojowników polskich“ — z dnia 25 grudnia 1831 roku:

„Niema ojczyzny, gdzie niema wolności. Słońce nie świeci dla niewolnika, ziemia się dla niego w zieloność nie stroi, pokarm, który pożywa, w truciznę się zmienia. Przed tym pokarmem uszliście, bracia! Czarny kawał chleba, woda ze strugi czerpana, prędzej się w życiodawcze zamienia soki, kiedy ją łzami cierpienia na widok hańby oblewać nie trzeba .. Narodów wytępić nie można. I my nie zginęliśmy! Nie zginął nasz język, obyczaje, religia; nie zginęła pamiątka władztwa polskiego... Jeszcze rdza nie stoczyła polskiego żelaza, jeszcze koń polski zarży pod ulubionym wojownika ciężarem, pod dzidą ułana i krakusa. Jeszcze i dla nas zaświeci gwiazda wolności. Powrót mściwego losu nie jest daleki... Przyjdzie ta chwila, w której głos trąby powoła nas na ojczyste niwy. Tam otworzą się groby poległych braci naszych, a z ich kości wynijdą mściciele. Pójdziemy wywołać ich cienie, lecz z orężem w dłoni; bo inaczej wzrok ich nie zniósłby sromu naszego, a jęki ich oskarżałyby przed niebem braci, co nikczemnością swoją spokojność ich wzruszyli“...

Lecz dla tych bohaterskich tułaczów nie było przeznaczenia, ażeby po raz wtóry chwycili za broń i z orężem w ręku walczyli o niezależność.

Człowiek w pętach poniżony jest wśród ludzi, a naród w kajdanach wśród wolnych narodów tej ziemi. Na zawsze w niewoli Polacy nie mogli trwać, bo narodowi rycerskiemu nie przystoi niewolnictwo. To też duch, jakim przejęci byli kosynierzy Tadeusza Kościuszki, legioniści Henryka Dąbrowskiego, a na wychództwie bohaterscy uczestnicy wojny o niepodległość 1831 roku, żył we wszystkich następnych pokoleniach aż do Wielkiej Wojny 1914—1918 roku.

Na Śląsku Górnym duch ten ujawnił się już silnie na przełomie ubiegłego wieku w obozie radykalnych

narodowców, gdy tacy działacze jak dr. Józef Rostek, Jan Jakub Kowalczyk i ks. Paweł Pośpiech toczyli wielką walkę o narodową samodzielność polskiego ludu górnośląskiego. Ważna i doniosła praca ideowa w kierunku niepodległościowym odbywała się też w tajnem stowarzyszeniu „Eleusis" pod przywództwem Joachima Sołtysa, w towarzystwach gimnastycznych „Sokół" i w tajnych kółkach polskiej młodzieży gimnazjalnej pod kierownictwem prezesa i opiekuna tych kółek, dr. Dzierzy. W tej wielkiej pracy odznaczyli się również polscy akademicy w Wrocławiu, których ideą była wielka, niepodległa i zjednoczona Polska. A gdy w roku 1918 Koalicja pobiła Niemców na głowę i naród polski zerwał pęta niewoli, wtedy wśród ludu naszego na Górnym Śląsku objawiła się wielka ochota, żeby tę prastarą polską ziemię przyłączyć do prawej ojczyzny, do Polski. Wiadomo, że okoliczności sprzyjały temu zamiarowi. Ale widocznem też było, że Niemcy łatwo nie zgodzą się na postradanie tak bogatej dzielnicy. Więc z największym pośpiechem gotować się trzeba było do walki zbrojnej z Niemcami. I tak na Śląsku Górnym założono tajny zbrojny obóz: „Polską Organizację Wojskową" (P. O. W.). W sierpniu 1919 roku Peowiacy toczyli ciężką walkę z wojskami niemieckiemi — za polską sprawę! Ale celu, niestety, nie dopięli.

Trzykrotnie polski lud śląski walczył o niepodległość, lecz nie zdołał Prusakom odebrać wszystko, co nieprawnie, bo przemocą posiedli od czasów Fryderyka II. Granica przecina starą Ziemię Opolską na dwie połowy: polską i niemiecką. Podział ten jest jednem z najsmutniejszych momentów wiekowej tragedji piastowskiego ludu śląskiego, a w rocznicę wyswobodzenia boleśnie przenika serca zwłaszcza wszystkich tych Górnoślązaków, którzy w dziele odzyskania niepodległości czynni byli.

*

Po raz pierwszy w tym roku rocznica odzyskania wolności jest oficjalnem świętem narodowem. I słusznie! Bo dzień 11 listopada 1918 roku, w którym uroczyście ogłoszono, że Polska jest państwem niezależnem, na zawsze w pamięci narodu pozostać musi i uroczyście obchodzony być winien. Czego od wielu lat naród nasz najwięcej pragnął, to w tym pamiętnym dniu posiadł. Stał się narodem wolnym! To też w całym kraju rozbrzmiewa pieśń radości, a mundur legionisty, żołnierza i powstańca jest symbolem bohaterstwa i poświęcenia w bojach krwawych o niepodległość i zjednoczenie Polski. Na prastarej ziemi Piastów, na Śląsku, obchodząc to wielkie święto narodowe, zwróćmy się też myślą i sercem ku Opatrzności i uznajmy, iż czuwa nad losami narodów.

Jerzy Jastrzębiec-Zakrzewski,
Zarzewiak-Peowiak.

Obecna sytuacja w kraju.

„Nadszedł czas podnieść przyłbicę, odrzucić wszelki fałsz! —

„Jak można organizować Państwo — jak można myśleć o uzdrawianiu czegokolwiek w Państwie, kiedy się niema tej zorganizowanej, jednolicie kierowanej woli...." wołał Marsz. Śmigły-Rydz.

Nie jest tajemnicą dla nikogo, iż w t. zw. **obozie legjonowo-peowiackim** pojawiły się od kilku miesięcy wyraźne różnice ideowo-polityczne, grożące rozłamem. I nic dziwnego, gdy przypomnimy sobie, iż obóz ten składa się przede wszystkim z trzech różnych przedwojennych organizacji młodzieży — dwuch, skupiających młodzież narodową w ramach: dawnego **„Zetu"** (Związku Młodzieży Polskiej) i **„Zarzewia"** oraz jednej, skupiającej dawną młodzież socjalistyczno-postępową — **„Filarecji".**

Najwcześniej — z inicjatywy obecnego vicepremiera i Ministra Skarbu inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego, któremu też powierzono i pierwszą prezesurę w dniu 26. I. 1930 r. — wznowiono po Wielkiej Wojnie działalność dawnego „Zarzewia", powołując w tym celu do życia spec. **Stow. Uczestn. Ruchu Niepodległościowego „Zarzewie".** Ostatni zjazd tego stowarzyszenia odbył się w dniu 13. IV. rb. we Lwowie, na którym to zjeździe vicepremier inż. Kwiatkowski wygłosił wspaniałe przemówienie, nacechowane wielką i niezachwianą wiarą w przyszłość i wielkość Polski. Obowiązki prezesa Zarządu Głównego „Zarzewia" pełni obecnie pierwszy prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego — dr. Bronisław Hełczyński, natomiast vicepremier inż. Kwiatkowski jest w dalszym ciągu członkiem Zarządu Głównego.

W listopadzie 1936 r. starano się urządzić w Warszawie obchód 50-cio lecia „Zetu", jednak organizatorzy tego obchodu spotkali się z zarzutem naciągania historji dla celów bieżących, tak, że zjazd ten wypadł dość blado. Działacze tego obozu między innymi bardzo czynnie występują na terenie działalności t. zw. „Z. Z. Z." (Związku Związków Zawodowych i konkurencyjnego Zjednoczenia Związków Zawodowych) i to w taki sposób, iż niektórzy z nich są zwolennikami O. Z. N. (Obozu Zjednoczenia Narodowego), inni natomiast jego przeciwnikami, co też nazwano „grą na dwa fortepiany".

Ostatnio, w dniu 27. VI. rb. — odbył się zjazd delegatów **„Związku Filaretów"** w Warszawie celem wypracowania deklaracji ideowej, stwierdzającej, iż Związek ten — jako poważna siła realna w Polsce, tworząca zwartą grupę ideową — „pozostaje nadal wierny idei humanitaryzmu, t. j. poszanowania praw człowieka i obywatela, a przeciwstawia się wszelkim przejawom nacjonalizmu, jako opartego na nienawiści, godzącej w dobro państwa i narodu polskiego." Pozatem zjazd ten wypowiedział się za radykalną przemianą ustroju oraz podziałem dóbr zgodnie ze sprawiedliwością społeczną, co jest możliwe tylko w silnej demokratycznej Polsce. Prezesem Zarządu Głównego wybrano — byłego viceprezydenta miasta Warszawy Tadeusza Szpotańskiego, natomiast prezesem Komisji Rewizyjnej — prezesa Związku Peowiaków min. Marjana Zyndrama Kościałkowskiego. W zakończeniu zjazd postanowił wzmocnić wewnętrzną egzekutywę organizacyjną i podporządkować władzom Związku wszystkich Filaretów (również i Filaretów petersburskich i kijowskich).

Organizacja ta dała obozowi legionowo-peowiackiemu najwięcej działaczy politycznych, jakkolwiek sporo z nich pozostało nadal w P. P. S.

Pierwsze oznaki zewnętrzne, rodzącego się fermentu w obozie legionowo-peowiackim — pojawiły się już w ostatnich dniach lipca r. b., w szczególności po ukazaniu się w sierpniu rb. pierwszego numeru miesięcznika **„Młoda Polska"**, jako organu **„Związku Młodej Polski"**, kierowanego przez płk. Adama Koca, szefa O. Z. N.

Zaatakowano ideologię „Młodej Polski" bardzo gwałtownie, jako niezgodną z ideologią Marszałka Piłsudskiego, ze strony t. zw. **Lewicy legionowo-peowiackiej,** przy tym zarzucono „Młodej Polsce" szowinizm narodowościowy na wzór endecji, polemizowano w kwestii żydowskiej, ale najważniejszym kamieniem obrazy był artykuł w „Młodej Polsce", dający wyraz przekonaniu, iż m y ś l p o l i t y c z n ą w Polsce reprezentowała endecja, a obóz legionowy — czyn żołnierski.

Takie postawienie sprawy przez „Związek Młodej Polski", będący pod kierownictwem płk. Adama Koca, zmobilizowało przeciw Związkowi i inne elementy w obozie legionowym, a przede wszystkim t. zw. sfery „starych legunów", zwane popularnie „grupą płk. Sławka".

Pozatym toczyła się również walka i o n a d r z ę d n o ś ć organizacji „Związku Młodej Polski" w stosunku do innych organnizacji młodzieży, jak Strzelec, Organizacja Młodej Wsi, Organizacja Młodzieży Pracującej i t. p., chcących także prowadzić akcję polityczną, na równi ze „Związkiem Młodej Polski", bez podporządkowania się temuż ostatniemu.

Jak więc widzimy głównym przedmiotem rozgrywek wewnętrznych w obozie legion.-peowiack. stała się sprawa młodzieży, tym więcej, iż nietylko zastępca płk. Koca w kierownictwie „Związkiem Młodej Polski" — Jerzy Rutkowski pochodził z obozu młodo-narodowego **O. N. R.** (Obozu Narodowo-Radykalnego, oderwanego w 1934 r. od Stronnictwa Narodowego), lecz i cały sztab tego Związku rekrutował się z lewego skrzydła O. N. R., zwanego grupą **„Falangi"** i wydającego w Warszawie pismo pod tymże mianem. A przecież O. N. R. był jeszcze tak niedawno nastrojony bardzo opozycyjnie w stosunku do systemu pomajowego... mimo ogłoszenia deklaracji ideowo-politycznej przez płk. Koca w lutym rb.

Odprężeniem na wielką skalę i początkiem nowego okresu politycznego stało się dopiero przemówienie Marszałka Śmigłego-Rydza, wygłoszone w dniu 31. X. rb. w Warszawie na o d p r a w i e starszyzny legjonowo-peowiackiej. Mowa ta uchodzi za jedno z najdonioślejszych wydarzeń politycznych ostatnich czasów i uważana jest za wstęp do akcji przeorganizowania obozu legjonowo-peowiackiego... z uwagi, iż Marszałek Śmigły-Rydz wyraźnie całym swoim autorytetem poparł akcję polityczną O. Z. N., kierowaną przez płk. Koca, dając równocześnie wyraz przekonaniu, iż O. Z. N. nie może być ani prawicowy, ani też lewicowy, jak by to chcieli widzieć niektórzy.

Jak to już wyżej zaznaczyliśmy, nie zapominajmy, iż wielu legjonistów, wstępując do Legjonów, należało od organizacji socjalistycznych, albo też wyszło z tej szkoły myślowej, jak „Filareci", to też nic dziwnego, iż ciążą nad nimi doktryny — wyznawane w młodości...

Dlatego też Marszałek Śmigły-Rydz, jako spadkobierca Marszałka Piłsudskiego, musiał wyraźnie zażądać — albo dostosowania się do wymagań doby współczesnej, a ta narzuca konieczność k o n s o l i d a c j i **narodowej,** albo też odsunięcia się d o k t r y n e r ó w, utrudniających tę wielką pracę! Jeżeli to się stanie, to jedność obozu legjonowo-peowiackiego zostanie w ostatniej chwili uratowana... Marszałek Śmigły-Rydz nie chce bowiem być ani lewicowcem, ani też prawicowcem, a tylko chce iść drogą t. zw. złotego środka, dla dobra Narodu i Państwa, — chce wprowadzić ustrój, harmonizujący wolę oraz żywe siły społeczne i polityczne Narodu Polskiego z silnymi rządami w Państwie (t. zw. demokrację zorganizowaną), co przecież nie jest absolutnie sprzeczne z obowiązującą Konstytucją naszą z dnia 23 kwietnia 1935 r. Z duchem tej konstytucji kłóci się natomiast dotychczasowa ordynacja wyborcza płk. Sławka, o której to zmianie wszyscy już dzisiaj mówią.

„Związek Peowiaków" przeżywa dziś okres samookreślenia się politycznego. W tej chwili ta praca wewnętrzna w P. O. W. znajduje się w pełnym toku..., to też można powiedzieć, iż front P. O. W. jest dziś w pełnym ogniu! Stare sentymenty wiążą

ludzi, lecz rozbieżność zapatrywań pociąga niestety za sobą osobiste zadrażnienia...

Było do przewidzenia, iż hasło zjednoczenia Narodu musi stać się równocześnie hasłem nieubłaganej i bezwzględnej walki z przeciwnikami tego zjednoczenia. Naszym zdaniem nie wolno okazywać słabości, trzeba mieć silne nerwy i być przygotowanym do pokonywania wielkich nieraz trudności.

Zdawałoby się, iż po głośnej odprawie legjonowo-peowiackiej Marszałka Śmigłego-Rydza z dnia 31. X. rb. w Prezydjum Rady Ministrów — zostały wyrównane wszystkie nieporozumienia i niejasności. Tymczasem zjazd legjonowo-peowiacki z dnia 7. XI. rb. we Lwowie, zakończony ścisłym porozumieniem obu organizacji, wydających tygodnik p. t. **„Wola i Czyn"**, zdaje się wskazywać, iż rozdźwięki, które istniały dawniej, zostały wprawdzie przytłumione, lecz ich przyczyna, tło i podstawy nadal istnieją. Zjazd lwowski był wprawdzie zapowiadany oddawna. Może przed odprawą w Prezydjum Rady Ministrów nosiłby inny charakter, — teraz przybrał jednak charakter kompromisowy. Wyrażono, oddanie się do dyspozycji Marszałka Śmigłego-Rydza, ale równocześnie oświadczono, iż do O. Z. N. płk. Koca uczestnicy Zjazdu gotowi są wstąpić z różnymi zastrzeżeniami — pod dawnymi sztandarami i nie w charakterze wykonawców czyjejś woli, czy wskazań, lecz jako współpracujący i współodpowiedzialni; jednym słowem — domagają się przyznania im udziału w kierownictwie ...? O. Z. N.

Niezadowoleni cofnęli się, nie wiedząc, co czynić dalej, nie chcą bowiem spotkać się z zarzutem, iż byli grabarzami własnego obozu.

Przeciwnikom Polski pod względem narodowym zjednoczonej chodzi o to, aby Polacy nie wiedzieli, co się naprawdę w kraju dzieje i dokąd idziemy.

Co do nas, to uważamy za swój obowiązek informować naszych czytelników i mówić im prawdę, tym więcej, gdy prawda ta jest tego rodzaju, iż może podnieść nas wszystkich na duchu.

Chcemy wierzyć, iż deklaracja ideowo-polityczna, mająca być ogłoszoną na Zjeździe Peowiaków w Wilnie, będzie owiana duchem zbratania się wszystkich Polaków dobrej woli dla dobra Narodu i Państwa Polskiego.

Dr. Adam Benisz
b. dow. 11 pp. wojsk. powst.

Lud śląski w walkach wyzwoleńczych na Górnym Śląsku.

Traktat wersalski przekreślił w roku 1919 żądanie sprawiedliwości dziejowej przyłączenia G. Śląska bez zastrzeżeń do Polski, i oddał go na pastwę eksperymentu plebiscytowego. Stało się to wbrew zasadzie narodowościowej, skoro Niemcy byli na ziemi piastowskiej kroplą w morzu polskim, wbrew europejskiej racji stanu, skoro G. Śląsk mógł się stać — co było do przewidzenia — dzięki plebiscytowi, zarzewiem konfliktów narodowych i zburzyć utrwalony traktatem wersalskim pokój. Modna dla Rady Ambasadorów, błyskotliwa zasada największego idealisty świata, Wilsona, zasada samostanowienia ludności o swoim prawnopublicznym losie, zastosowana do G. Śląska, miała dokonać rozdarcia jedności i zakłócić spokój na tej ziemi. Przez straszną też golgotę przechodzić musiała w czasie walki plebiscytowej (1919 do 1921) ludność śląska, której zasadniczą winą, że ją przeznaczono na męki i cierpienia, był fakt urodzenia się i mieszkania na ziemi piastowskiej, zakwalifikowanej do eksperymentu plebiscytowego.

To jednak zrządzenie dziejów było widocznie potrzebne dla zamanifestowania ludności śląskiej wobec całego świata, że ludność tubylcza na G. Śląsku była zawsze, jest i będzie polską i że dążenia jej prawnopubliczne mają charakter dośrodkowy — do Polski.

Już na rewolucyjnym sejmie dzielnicowym w Poznaniu w grudniu 1918 roku ludność G. Śląska przez swoich delegatów wyraziła wolę związania swoich losów z Polską na wieki, a następnie w trzykrotnych walkach wyzwoleńczych zadokumentowała tę wolę krwią własną — budząc bohaterstwem swoim sumienie świata, przytłumione intrygami międzynarodowymi i egoistyczną racją stanu, nie mającą nic wspólnego ze sprawiedliwością.

Trzykrotne powstania górnośląskie (1919, 1920, 1921) były z jednej strony krwawym protestem przeciwko niesprawiedliwości międzynarodowej (plebiscyt), z drugiej zaś największym bohaterstwem, jakie zapisała złota księga dziejów Polski na przestrzeni z górą wieku.

W czem leży dynamika bohaterstwa górnoślązaków i pierwszeństwo powstań górnośląskich w hierarchii polskich poczynań niepodległościowych?

Przez 500 lat żył lud śląski samodzielnym, odrębnym życiem (1435 — 1921), bez kontaktu z wielką kulturą narodu polskiego i bez wychowania w tradycji bohaterskiej historii polskiej, która była mu nieznaną. Lud ten narażony na wpływy czeskiego nacjonalizmu i pruskiej szowinistycznej, oraz unifikacyjnej polityki (od r. 1763) zdawał się być skazanym bezapelacyjnie na wynarodowienie. Prześladowania,

więzienia, zesłania na piaski brandenburskie, jako reakcja za każdy najmniejszy odruch narodowy, — oto gehenna tej ludności i jej przywódców. Nadomiar złego niektórzy potężni przewódcy tego ludu (Napieralski) poczęli wychowywać ten lud na etnograficznego Polaka, związanego uczuciowo z państwem pruskim, więc w granicach tego państwa, przy radykalnym zerwaniu z resztą Polski.

Idealne wartości, tkwiące odwiecznie w duszy człowieka, zepchnięto na drugi plan, a wysunięto wartości realne — więc materialne, spychając eo ipso lud roboczy do bezw. masy, powolnej na każde skinienie pruskie i wychowując go na sytych niewolników, zadowolonych z przyziemnego bytowania.

A lud roboczy — ta tubylcza ludność G. Śląska — to prawowici dziedzice tej ziemi — lud pracowników kopalń, hut i fabryk, których właścicielem był niemiec, lud małorolny i bezrolny, zatrudniony na wielkich latyfundiach niemieckich — więc lud zależny.

Zależność ta była przygniatająca. Z jednej strony straszliwy nacisk ekonomiczny — walka o byt — na ten lud roboczy pracodawcy, z drugiej zaś kulturalny, polityczny i religijny: szkoły, kościoła i urzędów. Wszystko to sprzysięgło się na duszę tego ludu, by go narodowo zdeprawować, urobić z niego janczarów polskich — więc zrobić z niego powolne swoje narzędzia, od czego naturalny skok do zupełnego wynarodowienia.

A przecież ten lud maltretowany, gnębiony, nie poszedł po linii najmniejszego oporu — oparł się szatańskiej pokusie lepszego jutra w ramionach prusaków i wbrew wszelkiemu racjonalnemu myśleniu — tak modnemu przez długie lata na ziemiach polskich po klęsce narodowej roku 1863 — poszedł drogą niewygodną, po cierniach i głogach, drogą bohaterskich poczynań — z twarzą ku Polsce.

Zwyciężyły w niem podświadomie czynniki irracjonalne, czynniki bohaterskie, które cechują duszę polską.

W poczynaniach ludu śląskiego uwydatniły się cechy tej duszy, znamionujące każdego Polaka, skorego do poświęceń.

Lud śląski, w mrokach nieświadomości narodowej pogrążony przez wieki i wychowywany życiowo wyłącznie materialistycznie ta „mumia górnośląska", która zdaniem Niemców nie miała się więcej podnieść z letargu narodowego — otrząsa się na pierwszy zew wolnościowy, zrodzony z oparów krwi, przelanej na polach walk, z pokostu niemieckiego i czując się wolnym dokonuje śmiałych czynów.

Rewolucyjny sejm dzielnicowy (1918), Polskie Rady Ludowe (1919), Polska Organizacja Wojskowa (1919), walka plebiscytowa 1920—1921) — oto etapy programowego rozwoju ideologii polskiej i rozrostu dynamiki bohaterstwa górnoślązaków, którego wykwitem trzy powstania (1919, 1920, 1921), prowadzone prawie wyłącznie siłami szarej braci robotniczej.

A każdy z wymienionych etapów — to szalone samozaparcie najlepszych synów Polski i wyzucie się z wszelkiego egoizmu dla sprawy, świadome kalectwo i czyhająca zdradliwa śmierć, to czas bezdomnego tułactwa i gościny więziennej, wreszcie okres panowania na terenie, zakwalifikowanym do plebiscytu, szatana, który skłócił rodziny i zrobił z cichych ludzi kainów i ojcobójców.

W tym kalejdoskopie coraz to nowych zjawisk, w tym postępowym tempie rozwijających się wypadków — na podłożu cierpień i pracy nerwów szlachetnieje dusza walczących o lepsze narodowe jutro górnośląskich robotników.

A każdy z tych bojowników — czy to ten z grupy emisariuszów plebiscytowych, z których każdy zasłużył na „Krzyż Niepodległości" z mieczami, czy tamten z Polskiej Organizacji Wojskowej, którego wywiadowcze psy gończe ciągle szukały, by zaprosić za kraty więzień dla bicia i poniewierki, czy w końcu ów powstaniec, spadkobierca tradycji walk wyzwoleńczych — staje w rzędzie największych bohaterów Polski. To poczestne dla tych bojowników wolności miejsce w rzędzie najlepszych w narodzie, przygotowała im 600-letnia niewola — twarda, bezpardonowa, ciężka praca na popielisku nadziei narodowych, wreszcie ofiary, osobliwy trud walki wyzwoleńczej.

Ten trud — to ciekawa a zaszczytna karta w złotej księdze dziejów Polski.

Wielkość tego trudu tkwi już w samej treści walki, podjętej przez masy ludowe. Powstania śląskie wyróżniają się bowiem tym wspólnym charakterystycznym rysem, że prócz zasadniczego celu walki o złączenie się z Macierzą Polską, znamionuje je wybitny ruch ludowy, będący pierwszym objawem demokratyzacji ruchu zbrojnego wśród powstań Polski porozbiorowej. A jak ten ruch rozwijał się wśród szarej braci robotniczej, to uwydatnia się wyraźnie w wzrastaniu szeregów powstańczych z roku na rok, które z garstki w roku 1919 dosięgły w trzeciem powstaniu cyfry około kilkudziesięciu tysięcy osób.

Cyfra ta nie daje jednak jeszcze obrazu żywiołowości rewolucyjno-niepodległościowego odruchu śląskiego. Panem sytuacji w ostatniem powstaniu (1921) były bowiem na terenie okupacyjnym Komisji Międzysojuszniczej aż po Odrę wyłącznie władze powstańcze, więc uruchumienie kopalń (na 63 kopalnie około 174.000 załogi) hut i zakładów fabrycznych zależało od tych władz. Znaczna przeto ilość robotników, garnących się w szeregi powstańcze, władze powstańcze zatrzymały w zakładach pracy, które w tym samym były także pod bezpośrednią władzą powstańczego Wydziału Wykonawczego, skoro na jego rozkaz dymiły kominy i szła praca zwykłym trybem. To samo było i z ruchem komunikacyjnym (koleje,

tramwaje), który znajdował się wyłącznie w rękach powstańczych. Zatem i ta pozostała część robotników, którym nie dano z bronią w ręku walczyć o wolność, wchodziła w orbitę ruchu powstańczego.

Był ruch rewolucyjny — tak w pierwszym, drugim jak i trzecim powstaniu — powszechny. Jest on tem znamienniejszy, że odnajdujemy go pierwszy raz po takich znamionach w historii polskich ruchów wyzwoleńczych, ze względu na jego oryginalność i specjalne warunki (Komisja Międzysojusznicza, plebiscyt), w jakich kształtowały się powstania śląskie, i ze względu na strukturalną stronę zagadnienia powstań górnośląskich, nastawionych wyłącznie na rzeczywistość państwową.

Te walki powstańcze górnośląskich Polaków o rzeczywistość państwową, wychowywanych „etnograficznie" — walki ludowe i powszechne, są, ze względu na swój zasadniczy cel, zdumiewające, bez analogii historii.

Wszak powstania polskie w roku 1831, 1846 i 1863 wywoływała i prowadziła wyłącznie szlachta, która uważała siebie za spadkobierczynię historii walk o wolność. Powstania zaś na Górnym Śląsku organizował i prowadził sam lud — więc ta część narodu, która przez długie wieki żyła samodzielnym, odrębnym życiem — zdala od kultury polskiej, nie mając wogóle możności kształtcenia swego ducha na wzniosłej literaturze i historii polskiej (szkoła pruska, wpływy językowe niemieckie), a przeciwnie skazana na skażenie wszystkiego tego, co w tej duszy jest pięknym i szlachetnym, i przede wszystkim na zagładę narodową.

I ta właśnie część narodu, biedna, pod każdym względem upośledzona, powstaje ku zdumieniu całego świata w obronie swoich najświętszych praw, w imię wolności. Zrywa się ona do walki, łamiąc zapory, jak powiedział kanclerz Rzeszy „ze zbrodniczą genialnością" a występując organizacyjnie sprawnie i planowo, pojawia się tam, gdzie taktyka tego wymaga, niespodziewanie „niby woda zaskórna", ku podziwowi zaskoczonych powszechnością ruchu zbrojnego Niemców.

Na takie wystąpienie stać było górnoślązaków, dla których walka nie była niczym nowym, bo przez codzienną walkę z żywiołem w podziemiach kopalń przechodził lud górnośląski w swej pracy, ucząc się tam spokoju, równowagi ducha, i opanowując się w momentach niebezpiecznych. Psychika więc tej ludności, przyzwyczajona w takich warunkach pracy do logicznego myślenia i śmiałego patrzenia codziennie śmierci w oczy, nie wyczuwała tragizmu w zbrojnym ruchu, gdyż ten tragizm był ich omal chlebem codziennym.

Tą równowagą umysłu w niebezpieczeństwach tłumaczyć należy bohaterskie przeciwstawianie się powstańców regularnej armii niemieckiej w wszystkich trzech powstaniach, w których trzymano każdą piędź z uporem górnośląskim.

Demokratyczna armia powstańcza okazała się wartościową jednostką bojową, mimo braku należytego przeszkolenia wojskowego i braku wykwalifikowanego personelu kierowniczego. Z tego ludu wywodzą się siły kierownicze Polskiej Organizacji Wojskowej, która przygotowała kadry do walki wolnościowej, oraz dowódcy poszczególnych formacji bojowych do dywizji włącznie, na czele których stali prawie wyłącznie górnicy, względnie członkowie rodzin górniczych.

Taka demokratyzacja ruchu zbrojnego, powszechnego, na podłożu patriotyczno-niepodległościowym, w warunkach górnośląskich jest objawem historii wyjątkowym, a w dziejach Polski jedynym i dlatego cennym.

Możliwe to było o takim nasileniu i w takim wyjątkowym zespole tylko na G. Śląsku, gdzie inteligencja polska wywodziła się przede wszystkim ze stanu robotniczego — górniczego, a była jej taka znikoma ilość, że ginęła swoim ułamkiem procentu w morzu napływowej inteligencji niemieckiej, w których rękach — jak to wyżej powiedziano — były dobra podziemne i nadziemne, oraz dobra ziemskie, do których należała krwawa praca zależnego robotnika polskiego.

Dlatego tubylcza inteligencja polska na G. Śląsku, rozbita zresztą partyjnie i zwalczająca się nieubłaganie, nie mogła dokonać samodzielnie przewartościowania ideowego duszy tego ludu i pokierowania go w odpowiednim momencie w właściwym kierunku.

Wobec zatem braku odpowiedniej ilości takiej inteligencji na G. Ślusku, zorientowanej u schyłku wojny światowej w duchu powstańczym, cała akcja ideowa, rewolucyjno-niepodległościowa, spocząć musiała z konieczności w rękach inteligentniejszych jednostek tego ludu (górnicy), skutkiem czego robota ideowa szła przez lud do ludu. To jest charakterystyczną cechą w poczynaniach niepodległościowych ludu śląskiego w okresie dla niego przełomowym, i to właśnie zjawisko było motorem powszechności śląskich ruchów zbrojnych bez względu na ich szerokość zasięgu.

Ta powszechność ruchu była w ostatecznym jego wyrazie — w powstaniu trzecim (maj i czerwiec) 1921 r.) wskaźnikiem, że lud górnośląski nie da siebie taksować od węgla i żelaza, i nie dopuści do gwałcenia sprawiedliwości, choćby przeciwstawić się jej miały takie potęgi świata, jak Anglia i Włochy.

Tej niezłomnej woli dali powstańcy dowód w krwawej rozgrywce z niepospolitym wrogiem i w bezpardonowości nawet wobec wojsk międzysojuszniczych. Ciekawa była ta rozgrywka.

Z jednej strony regularna armia niemiecka, przebrana po cywilnemu, a za nią stojący autorytet Komisji Międzysojuszniczej — z drugiej armia powstańcza bez przeszkolenia wojskowego, i broniąca się tylko zapałem i wolą zwycięstwa. Z jednej strony kilku generałów, kilka tysięcy oficerów, a nawet kompanie oficerskie oraz armia technicznie dobrze uzbrojona — z drugiej 1 oficer na 200 powstańców, przy kolosalnych brakach w uzbrojeniu, amunicji i przy braku wojskowych środków pomocniczych. Z jednej strony jednolita taktyka tak wojskowa jak polityczna, z drugiej nieskoordynowana od samego początku powstania działalność dyplomatyczna z akcją wojskową i zupełny rozdźwięk między główną kwaterą powstańczą a frontem.

W tak ciężkich warunkach walcząc, armia powstańcza mimo kolosalnej przewagi przeciwnika, przy zdecydowanym oporze wojsk włosko-angielskich, a ponadto bez należytego poparcia naczelnych swoich władz — zwyciężyła w końcu: siłą ducha i wysoką wartością moralną żołnierza.

A epilogiem tego zwycięstwa — to złożenie w czerwcu 1922 roku przez górnośląski lud roboczy najświętszego jego skarbu — wywalczoną krwawym trudem ziemicę piastowską — u stóp Rzeczypospolitej Polskiej.

Kazimierz Laskowski.

NASZE CMENTARZE

Nasz cmentarz wielki.... jak świat, jak ból świata!
Jak to, co ludzkość opłakuje w grobie!
Gdziekolwiek rękę podnoszono kata,
Gdziekolwiek ziemia chodziła w żałobie,
Wszędzie, gdzie wolność stawiała ołtarze,
Tam nasze kości, tam nasze cmentarze!

Nasz cmentarz wielki... Gdyby myśli ptakiem
Rozpiąć na przeszłość od końca do końca —
Toby żałosnym leciały orszakiem
Od wschodu słońca, do zachodu słońca!
Na gwiazd polarnych poglądały zorze
I na pustynne piaski, i na morze!

Gdyby tak można to, co bolem było,
Wszystkie wspomnienia z dziejowego proga
Zebrać — i jedną usypać mogiłę,
Toby sięgnęła aż tam, pod tron Boga!
I takiej skargi miała w sobie siłę,
Że Bóg zatknąłby krzyż sam w tę mogiłę!

Gdyby tak można podjąć to, co w musie
Legło, i we krwi, i we łzach, i w pocie,
Tobyśmy pierwsi byli przy Chrystusie,
Jak pierwsi z ludów kroczym po Golgocie,
I nie rozpaczą pochylali skronie —
Majestat mieli w cierniowej koronie.

Gdyby tak można.... na jeden grobowiec
Zwołać, co polską broniło się klingą,
Od pól Lignicy, Psiego Pola, Płowiec,
Z sybirskich lodów, z piasków San-Domingo,
I te mogiłki u rozstajnej dróżki —
Żółkiewskich prochy i serce Kościuszki!

Gdyby tak można podnieść z górskich grzbietów,
Od Somosierry — po piastowskie niwy,
Tysiąc tysięcy zmurszałych skieletów
I dać im wolę, i wrócić kształt żywy!
Gdyby tak można... Już się tęcza pali!
Gdyby tak można... Już świt! Marzmy dalej!

Leć myśli smutna ukraińskim szlakiem
Pod nowe siewy i pod nowe zboże —
Gdzie jar seschniętym porosły bodiakiem,
Stare kurhany młody oracz orze...
Jeśli mu nagle lemiesz w skibie stanie,
Wiedz — polskie kości leżą w tym kurhanie!

Pod Bożą Męką, przy rozstajnej drodze,
Wiejskie dzieciny przyklękły z pacierzem;
Gasnące słońce w wieczornej szczeżodze
I szare cienie snują się pod krzyżem —
Ludziska mówią, że tu zmierzchem straszy
Tych, co się krzyża bali i pałaszy..

Dzieciom nie straszno ducha, ni modlitwy,
Bo ten, co nocą chodzi uroczyskiem,
Gdy już mrok ciemny wieje od puszcz Litwy,
Z polskiem za życia nosił się nazwiskiem
I sam miał ranę w piersiach, i krzyż w ręce,
Nim oddał ducha tu, przy Bożej męce!

Nasz cmentarz wielki... Mogiły nieznane,
Ustronne groby, pochylone krzyże,
Stare kurhany, sochą przeorane,
Za „dusze zmarłych" dziecięce pacierze,
Starych portretów pobrudzone twarze
Ból nasz dzisiejszy — to nasze cmentarze!

Nasz cmentarz wielki... Śpieszmy się z żałobą,
By nie zapóźnić Zaduszkowej pory...
Śpieszmy — wspomnienia wszystkie weźmy z sobą,
Wszystkie znaczone sercem rozhowory —
I tam u mogił nadsłuchujmy w ciszy:
Co groby mówią — i czy niebo słyszy?

J. Ludyga-Laskowski, major em.
b. naczelnik „Sokoła" Bytomskiego.

Krótki zarys historii „Sokoła" na Górnym Śląsku.

Przyczynek do historji odrodzenia narodowego ziemi śląskiej.

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Dziś śmiało powiedzieć możemy, że wszędzie tam, gdzie było gniazdo „Sokole", w każdym miasteczku i w każdej wsi, gdzie była sokolnia, powstawały twierdze polskości i żywego uczucia narodowego. Z Sokolni płynęły w szerokim kręgu krzepiące słowa polskie, rosła duma narodowa, cementowało się poczucie uświadomienia narodowego. Uprzytomnijmy sobie, że wówczas przez ogół ludu śląskiego, Polska jako państwo, była nieznana. W latach przedwojennych była ona marzeniem, do urzeczywistnienia którego dążyły tylko nieliczne jednostki, rekrutujące się prawie wyłącznie z „Sokołów". Obchody rocznic narodowych, przedstawienia teatralne, kursy samokształceniowe, zloty, a przedewszystkiem ćwiczenia fizyczne, ćwiczenia tężyzny, odwagi, karności i zaprawiania młodzieży do roli przyszłych bojowników narodowych, oto magnesy, oto siła przyciągająca w obręb działalności „Sokoła" wszystkich tych, którzy w lepszą przyszłość Polski wierzyli.

I w pełni pracy, nadszedł dzień sierpniowy 1914 r. Nadeszła wojna, o którą modlił się nasz największy wieszcz narodowy Mickiewicz: O wojnę powszechną modlimy się Panie! Genjuszem swoim wyczuł ten wielki pielgrzym narodu polskiego, że z powszechnego zamętu, jaki powstanie wskutek wojny na świecie, powstanie Polska wolna i niepodległa.

Z chwilą wybuchu wojny świat. sokolstwo polskie w b. zaborze pruskim, zostało zupełnie rozproszone, przez zaciągnięcie dużej liczby członków organizacji w szeregi armii niemieckiej. Śmierć zabierała bez litości kwiat młodzieży naszej.

Gniazda sokole okręgu śląskiego na czas trwania wojny zmuszone były czynności swoje zawiesić, gdyż oprócz kilku starych weteranów, wszyscy druhowie zdatni do noszenia broni byli na wojnie. A kiedy w roku 1918 przystąpiono do reorganizacji gniazd okręgu, gdy los łaskawy pozwolił nam na nowo zająć się Sokolstwem, gdy w tej wielkiej godzinie przeznaczenia dziejowego, jaka nadchodziła dla Górnego Śląska budzić ospałych i gnuśnych, okazało się, że dwie trzecie naszych przedwojennych druhów już nie wróciło.

Od chwili wybuchu wojny odbyło się pierwsze posiedzenie dnia 6 paźdz. 1917 r. drugie 4. IV. 1918. W końcu roku 1918 i w ciągu roku 1919 założono nowych gniazd 56. Razem liczył wtedy okręg śląski 82 gniazda i ilością członków 8000. Już w grudniu 1919 dzielnica Śląska liczyła 12 okręgów, 157 gniazd i 13 000 członków!

Dnia 26 października 1919 roku, odbyły się w Załężu w lokalu Grünfelda, zebrania grona technicznego VI Okręgu „Sokoła". Na zebraniu tem byli obecni: Józef Dreyza, naczelnik Sokoła Okręgu Śląskiego, Jan Przybyłek, naczelnik drużyn młodocianych Sokoła piekarskiego, Henryk Miękina, naczelnik gniazda bogucickiego, Jerzy Król, naczelnik gniazda brzezińskiego i Stanisław Mastalerz, naczelnik gniazda gliwickiego i druhowie Jan Baron i Wincenty Renka z gniazda piekarskiego.

Po odbyciu oficjalnego zebrania grona technicznego, naczelnik okręgu Józef Dreyza zgromadził dookoła siebie wyżej wymienionych, ażeby się zastanowić nad położeniem politycznem, spowodowanem zbliżającą się przegraną wojny przez państwa centralne. Zebrani uchwalili, przystąpić do zakładania „Straży Obywatelskich". Członkami tych „Straży Obywatelskich" mogli zostać tylko członkowie „Sokoła", w wyjątkowych wypadkach członkowie czynni innych towarzystw polskich, których patriotyzm nie podlegał żadnej wątpliwości. Trzeba tu dzisiaj z całym naciskiem podkreślić, że pierwsza myśl, pierwsze kroki stworzenia na Górnym Śląsku polskiej siły zbrojnej, którąby się przeciwstawiła zbrojnym Oddziałom niemieckim wyszła z łona „Sokoła". Inicjatorami tej myśli byli ówcześni naczelnicy gniazd sokolich, a pierwsze kadry powstałej później i w dziejach śląskich chlubnie zapisanej Polskiej Organizacji Wojskowej, składały się w dużej części z „Sokołów". Wszystkie poczynania P. O. W. na Górnym Śląsku, niebyły wówczas do pomyślenia bez oparcia ich o „Sokoła". Jeżeli sięgniemy myślą wstecz do owych historycznych chwil, to czy to będzie zebranie 26 października, czy 12 grudnia 1918, 5-go czy 10-go stycznia 1919, wreszcie znane powszechnie na Górnym Śląsku zebranie w dniu 19-go lutego, na którym Komendanci Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska składali przysięgę, wszystkie te zebrania, zmierzające do stworzenia realnych podstaw stworzenia na Górnym Śląsku tajnej polskiej siły zbrojnej nie byłyby do pomyślenia, gdyby nie mrówcza praca tych nieznanych dziś pierwszych pionierów „Sokoła" na ziemi śląskiej. Jest to prawda tak oczywista, że nie trzeba jej udowadniać. Niemniej uważam za wskazane przytoczyć kilka charakterystycznych dowodów mojego wyżej postanowionego twierdzenia, przypisującego „Sokołowi" śląskiemu zasługę twórcy ruchu zbrojnego na Śląsku. Są to dowody, pochodzące z własnoręcznie pisanych życiorysów przez b. Peowiaków, lub też z wyciągów

dokumentów do tych życiorysów załączonych, ubiegających się o dowody stanu służby w P. O. W. w latach 1919—1921.

Nasienie, zasiane przez pierwszych pionierów sokolstwa na Śląsku, dopiero po wojnie wydało należyte owoce. Właśnie w pracy i zasługach P. O. W. na ziemi Piastowskiej leży cudowny owoc żmudnych wysiłków „Sokoła" na Śląsku. Spełniła się w cudowny sposób jedna z naszych klechd ludowych, że pod Sroczą Górą śpi wojsko świętej Jadwigi i że jak ono powstanie, to i Polska znów wolną będzie.

I już czterdzieści lat mija, jak „Sokół", ów szary ptak, usłał pierwsze swoje gniazdo na Śląsku w Bytomiu.

W tym czasie dowiódł „Sokół" Śląski, że celem jego istnienia nie była nie tylko gimnastyka, zabawy i śpiewy, ale, że to wszystko było tylko środkiem do celu, natomiast żywotność swoją wykazał „Sokół" Śląski w trzech krwawych powstaniach śląskich. O wielkiej ideowości „Sokołów" śląskich o tych, co to słowa w miłości ojczyzny w czyn zbrojny zamienili, świadczą rozsiane po polach powstańczych bitew, drewniane krzyże na mogiłach bohaterów „Sokołów".

Niech więc duma w nas wzrasta i świadomość dobrze spełnionego czynu patrioty — Polaka niech rozpiera pierś naszą.

Spokojnie czekać możemy wyroku historii polskiej na Śląsku, która kiedyś będzie sądziła dzieje Sokolstwa naszego, bo dzieje „Sokoła" śląskiego, to dzieje rozwoju polskości na Górnym Śląsku. Z tej to pracy „Sokół" śląski dumny być może!

„Sokole" bytomski! Szary ptaku! Dziś patrzysz na wspaniałe plony ciężkiej Twojej pracy. Lecz dziś w dniu robienia rachunku sumienia i pracy narodowej widzisz, że wszystkie Twoje walki i prześladowania, że wielkie Twoje ofiary i poświęcenia, że wszystkie Twoje wysiłki o lepsze jutro ludu naszego, obróciły się w zwycięstwo!

Spełniły się Twoje marzenia przeszłości, ale nie skończyło się Twoje szczytne zadanie!

Polska współczesna zajęła w rodzinie narodów należne jej miejsce. Mocarstwowe jej stanowisko uznane zostało przez cały świat. Jednym z czynników, który specjalnie budzi podziw i uznanie dla Polski, jest fakt, że wszystkie dotychczasowe sukcesy osięgnęliśmy sami, bez niczyjej pomocy!

W tej twardej walce, kiedy w myśl proroczych słów Wielkiego Wodza Narodu: „nadejdą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak kiedyś był wyścig żelaza, wyścig krwi, potrzeba ludzi czynu. Być dzisiaj „Sokołem" już nie jest nic, coby pasowało na rycerza. Ta piękna aureola z lat przedwojennych znikła bezpowrotnie. Dzisiaj potrzeba codziennej, żmudnej, drobnej, najzwyklejszej, szarej jak ten nasz ptak, pracy około utrwalenia niepodległości, zabezpieczenia Polsce stanowiska mocarstwowego w świecie. Polska, to dziś państwo potężne, 33 milionowe! Na potęgę tego naszego państwa składa się praca, w miłości do tego państwa spełniana.

W tym wyścigu pracy, Sokolstwo dać musi z siebie to, co ma najszlachetniejszego w sobie, służyć musi karnie Ojczyźnie, wychowywać musi zdrowych, silnych i karnych obywateli. — „Sokół" ma przed sobą wielkie i piękne zadanie społeczne: powinien wychowywać członków swoich na ludzi o dużej odwadze cywilnej, której nam tak często brak.

„Sokół" winien przysporzyć Polsce jaknajwięcej zdrowia duszy i ciała swych synów i córek. Celem tego wysiłku szlachetnego winna być jedna wielka myśl: oddania się całkowicie na dalszą trwałą i wytrwałą służbę dla Ojczyzny, w myśl rycerskość apelu **„Ramię krzep — Ojczyźnie służ."**

Amalia-Irena Hanzlówna.

NIEZNANY ŻOŁNIERZ

Idę! — Ojczyzna mnie woła
we mnie miłości się pali kaganiec
— Słyszycie! dzwony dzwonią z kościoła
na moje pożegnanie.

Zagrzmiały surmy — zahuczały działa
ruszyli na bój w świętej sprawie
Pieśń wolności się rozpalała
a zwycięstwo kreśliło niebo łaskawie.
KRWIĄ I ŁZAMI POKOLEŃ WEZBRANE
ZBLIŻYŁO SIĘ KU NAM POLSKI ŚWITANIE.

Uleciał ostatni bojowy zew
ciche urosły mogiły
Sny o Polsce się ziściły
za tyle mąk — za krew.

Szeleszczą pod stopami zwiędnięte kobierce
lecz wrócą po zimowym śnie
a twarze tych co polegli, najukochańsze najszczersze,
przychodzą już tylko wspomnieniach mgle.

*

Lecą z drzew żółte, amarantowe liście
w jesiennym smutku łamią się gałązki
W świerkowe wianki — w kwiatów okiście
przybrano groby bohaterów śląskich.

Śpij snem spokojnym drogi bracie
co „Nieznanym Żołnierzem" się zowiesz
Niech Ci wierzby nad grobem zaszumią o chacie
że Polska — niech echo odpowie.

Stanowisko kobiety w rodzinie i gospodarstwie.

Już w raju skazał Pan Bóg tak mężczyznę jako i kobietę na ciężką pracę, to też widzimy jak mąż i żona wspólnie pracują na kawałek chleba, wspólnie radzą, wspólnie sobie dopomagają niby członki jednego ciała. Pomimo tego, inne jest stanowisko kobiety, a inne mężczyzny w gospodarstwie, bo to już tak na tym świecie, że każda rzecz, każde stworzenie ma przez Stwórcę wskazane sobie miejsce, na którem stać powinno i dążyć do takiej doskonałości, jaka się z naturą jego zgadza. Jeżeli jest rzeczą mężczyzny starać się o wszelkie potrzeby i zgromadzać je, to żony utrzymywać takowe. Niech mąż robi jakie chce w gospodarstwie zabiegi, niech przedsiębierze najkorzystniejsze ulepszenia, to te doprawdy nie przyniosą mu zupełnej korzyści, jeżeli ich nie wspiera żona. Ona swoją oszczędnością może nietylko liczne wydatki, jakie codziennie w gospodarstwie zachodzą zmniejszyć, ale nawet przez swoją rzędność znacznie dochodów przymnożyć. Nie można zaprzeczyć, że kobieta może być w gospodarstwie jedną z tych wielkich sprężyn, która się głównie do dobrobytu przyczynia.

Mozolne, utrudzające i z rozmaitemi przeciwnościami walczące życie, do jakiego każdy zarobkujący mężczyzna jest powołany, sprowadza mu często przykre i smutne chwile. Któż więc potrafi wtenczas rozchmurzyć i rozweselić jego posępne czoło, jeżeli nie dobra i cnotliwa żona? — Któż mocniej i czulej podziela z nim te troski i wszelkie zmartwienia, jeżeli nie ona? — „Dobra żona jest dar Boży" mówi przysłowie a w księdze mądrości napisano jest: „Niewiasta dobra cieszy męża swego. Jak słońce wschodzące światu, tak niewiasta dobra ozdobą domu jest". — Lecz tylko pracowita i cnotliwa, słowem dobra kobieta potrafi jako skrzętna gosposia przymnażać dostatków i roztropnie szafować owocami prac mężowskich, tylko taka może uszczęśliwiać twarde, obowiązkowe życie męża. Przeciwnie, kobieta leniwa, nie uzbrojona w cnotę, słowem kobieta zła, jest jakoby morowa zaraza, która wszystko i wszędzie zatruwa i pożera. Taka dogadza tylko swoim skłonnościom, trwoni i marnotrawi cały dobytek, przez co sprowadza niekiedy na całą rodzinę materialny upadek, za którym przychodzi gorszy, bo moralny. I któż będzie wątpił, że w rękach kobiety spoczywa szczęście lub nieszczęście rodziny tak we względzie materialnym jako i moralnym? —

Kobieta nietylko dopomaga mężowi w gospodarstwie i uprzyjemnia mu życie, ale pielęgnuje także rodzinę i wychowuje drobne dziatki. Nie ma ani nauczyciel, ani ksiądz tak dobrej do uprawy roli jak matka w swem dziecku. Ona też od najpierwszej młodości może przyzwyczaić je do pracy i cnoty. Pracę i cnotę nie tylko w dorosłych lub dorastających, ale już w najrańszem dzieciństwie szczepić można. Nie potrafi też cnotliwej matki w tym względzie ani szkoła, ani kościół zastąpić. Nauki matki przyjmują się i rosną w drobnem sercu dziecięcia, jak rosną kwiatki na bujnej glebie ciepłym deszczem lub rosą zasilane. Matka tylko potrafi rozdmuchać pracę i cnotę w dziecku, szkoła może tylko później pielęgnować to wszystko. Lecz gdzie matka oddana próżnościom, zbytkom i innym zdrożnościom, tam mowy być nie może o prowadzeniu dzieci do pracy i cnoty. Tam one są jakoby w domu zarazy, gdzie ich serca już samem powietrzem się zatruwają. — Polska niepodległa potrzebuje porządnych obywateli. Dlatego kobiety polskie powinny stać się wzorem pracy i cnoty, a wtedy z pewnością Polska dzielnych i porządnych obywateli mieć będzie.

LISTOPAD

Miesiąc listopad — to już głęboka jesień! Wiatr wstrząsa konarami drzew i obrywa z nich ostatnie zeschłe liście, niebo przybrało szarą barwę, chłód zwarzył już wszelką zieloność. W borze zwierz się przyodział w ciepłe futerko, a gady na legowisko zimowe do ziemi polazły. Wieczorami wiatr gra pod oknami domów niby flet pastuszy, a od czasu do czasu nawet drzwiami od sieni mocno zatarmosi. Przy ciepłym piecu siedzą ludzie, wspominają „stare czasy" i dzieciom swoim opowiadają o nich.

Rolnik ma w tym miesiącu jeszcze wiele polnych robót do wykonania. Kiedy więc czas po temu, to znaczy — kiedy deszcz nie pada — podoruje ugory, nawóz pod rośliny korzeniowe zaoruje, łąki i koniczyniska popiołem potrząsa. A jeśli ma sad, drzewa owocowe okopuje, winną macicę przykrywa mierzwą i ziemią. Gospodarz na wsi ma jeszcze wiele innej roboty w każdym zakącie swego gospodarstwa. Więc wszystkiego się ima, dogląda, nie spuszcza się na dzieci ani najemnika, choćby i najwierniejszy był . Bo „Choć czeladnik z nieba, pilnować go trzeba" — powiada przysłowie. Tak pracując, gospodarz postępuje ze szczebla na szczebel na oną wielką rolniczą drabinę, aż czasu swego najwyższy szczebel osięgnie, czyli dojdzie do jakotakiego dobrobytu, bo zwłaszcza u gospodarza wiejskiego:

Uczciwa praca
Zawsze popłaca,
Choć się odroczy
To nigdy nie zboczy,
Ani od miedzy
Ani od wiedzy.
Główna potrzeba,
Dziennego chleba.

— — — — — — — — —

W listopadzie cały świat katolicki obchodzi „Święto zmarłych", które gromadzi tłumy na cmentarze. Wielu coprawda pociąga za bramę miasta zmarłych ciekawość, ale większość śpieszy z myślą skupioną, z pobudki religijnej — by przyczynić się modlitwą do spokoju dusz zmarłych krewnych lub przyjaciół.

Na każdym niemal grobie leżą wieńce, stosownie do zamożności ofiarodawców, a wieczorem jaśnieje morze różnokolorowych migotliwych świateł, odbijając się na zwarzonych jesienią trawach. Zewsząd dolatują szepty modlitw żałobnych: „Wieczny odpoczynek racz dać Panie," wszędzie tłumnie i gwarnie. Tylko tam, gdzie złożono zwłoki szaleńców, którzy sami sobie życie wydarli, ciemno i pusto. Na groby samobójców nikt nie kładzie nawet gałązki zeschłego chróstu.

Czego można dopiąć usilną pracą!

Pewne miasto otaczały wielkie piaski, któremi wiatr miotając, zasypywał ulice, a nie dozwalał nigdzie ani jednego ogródka założyć. Mieszkańcy miasta tego przykrzyli sobie owe piaski, ale nie myśleli o ich zatamowaniu. Pewnego razu przyszedł do tego miasta podróżny, który słyszał skargi mieszkańców na piaski. Idzie do przełożonych i prosi, by mu miasto darowało te piaski i dozwoliło wszystkie z miasta uprzątać śmieci i gnoje, za co przyrzekł piaski wstrzymać. Zdziwieni przełożeni żądaniem podróżnego, najchętniej na takowe przyzwolili, a wydziwić się nie mogli: że nawet zapłaty nie żąda za czyszczenie miasta. Podróżny kupił konia i dwukolny wózek z pudłem do gnoju i uprosił chróstu z wiejskiego boru. Chróstem zagrodził mały kawałek piasku za miastem, wózkiem zaś wywoził codziennie śmieci, błoto i mierzwę na ogrodzony piasek, śmiechem i szyderstwem mieszkańców od pracy odwieść się nie dając. Chociaż piaski przez chróst w ogrodzenie jego się sypały i zwieziony gnój zarzucały, zwozić go jednak nie przestawał. Po zimie zasiał na wymierzwionym piasku pietruszkę i inne nasiona, które często wodą skrapiał. Na gęsto zasilonym i często zwilżanym piasku pięknie warzywo wyrosło, które drogo sprzedał w mieście, niemającem żadnego ogrodu. Mierzwę zaś wciąż z ulic i podwórz na piasek wywoził, a chróściany płot co rok dalej posuwał. Sprzęt miał co rok lepszy i obfitszy, który doskonale wynagradzał jego pracę. Przychodzień kupił sobie więcej koni i wozów do zwożenia z miasta śmieci, mierzwy i błota. Zasiał pestek, z których wkrótce doczekał się pięknych szczepów, służących mu do założenia wielkiego sadu. Wreszcie wybudował sobie piękny dom, a na całych piaskach założył ogrody, które tysiąckrotne jemu i jego następcom przynosiły owoce za podjętą pracę i trud, a miasto nietylko od zaspów piasku uwolniły, ale pięknie je nawet przyozdobiły i mieszkańcom ku wygodzie i przyjemności wśród lata służyły.

* * *

Nam Polakom na żyznej, szczęśliwej ziemi Bóg się porodzić dozwolił. Słusznie też powiedział Sebastyan Klonowicz z Sulmierzyc przed 300 laty:

Że miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła jako u Boga na łonie,
Może nie wiedzieć Polak co to morze,
Gdy pilnie orze.

A pilnie orać, co w czasie obecnym znaczy: usilnie pracować powinien każdy Polak, rolnik, rzemieślnik, inteligent, robotnik, kupiec. W Polsce każdy może się dorobić, pracując i oszczędzając. W pracy zawodowej, ale też i społecznej Polacy muszą spinać się na palce, aby sąsiadom nie tylko dorównać, lecz stać się dla nich wzorem.

Miny bojowe.

„Miną" albo czysto po polsku „podkopem" zowie się pewna ilość prochu lub innego ciała wybuchającego, umieszczona w głębi ziemi, mająca wybuchnąć po podpaleniu i wysadzić w powietrze to, co się nad nim znajduje. Proch, a także inne ciała wybuchające, działa wprawdzie dokoła we wszech kierunkach, lecz zawsze najsilniej w tym, który mu stawia opór najmniejszy, więc ku powierzchni ziemi. Ilość prochu, dynamitu, bawełny strzelniczej i t. p., umieszczona pod ziemią, zowie się „nabojem miny" i zwykle umieszczaną bywa w skrzyni drewnianej, wstawianej do zagłębienia, nazywanego „komorą miny". Ziemia, wyrzucona przez wybuch, nosi miano „snopu miny" albo „ziemnego". Dół, powstający przez wybuch, nazywa się „lejkiem miny"; obwód jego w przybliżeniu bywa zawsze kolisty.

Mina wybuchająca nietylko wytwarza lej, ale też wstrząsa ziemię dokoła komory we wszystkich kierunkach, pomimo, że tam spotyka wszędzie opór większy, niż ku górze; nazywamy to „okręgiem jej działania", a wielkość jego zależy głównie od siły naboju, która w miarę odległości od niego maleje. Odległość od naboju, w której budowle podziemne ulegają zniszczeniu, zwie się „okręgiem burzącym miny", dalsza zaś, gdzie następują jeszcze uszkodzenia lżejsze, jak pękanie murów, sklepień i t. p., — „okręgiem wstrząsającym".

Przy zakładaniu miny koniecznie znać potrzeba zarówno rdzeń i spoistość gruntu, jak i siły materiału wybuchowego, żeby z góry obliczyć i ustanowić zamierzone działanie miny; służą do tego tabele, osiągnięte za pomocą doświadczenia, wykazujące, ile na metr sześcienny ziemi użyć należy prochu lub innego materiału wybuchowego. Ponieważ obliczenia te nigdy nie mogą być zupełnie ścisłe, więc trzeba zawsze brać nabój większy, niż obliczenie wykazało.

Sposób najprostszy założenia miny polega na wykopaniu studni dostatecznie głębokiej, urządzeniu u dna jej, w jednej ze ścian, dostatecznej komory, umieszczenia w niej naboju, zasypania następnie studni i podpalenia naboju. Częściej jednak trzeba sposobem górniczym kopać chodniki podziemne i w nich dopiero umieszczać miny. Dawniej do podpalania naboju posługiwano się sposobami różnemi, nieraz zawodzącemi; obecnie niemal wyłącznie dokonywa się tego za pomocą iskry elektrycznej, działającej pewno i w chwili dowolnej. Po podpaleniu naboju rozlega się naprzód huk, głuchy, podziemny, potem ziemia nad nabojem pęka w różnych kierunkach, nakoniec z łoskotem wielkim wybuch wyrzuca w górę snop ziemi wysoko, rozlatujący się dokoła. Część ziemi opada znów w sam lejek miny, pozostała, opadając, tworzy nasyp dokoła niego.

Już starożytność znała podkopy i posługiwała się niemi, oblegając miasta i zamki. Były to chodniki podziemne, za których pomocą oblegający starał się dostać pod mury lub wieże miasta obleganego. Dostawszy tam, oblegający doprowadził minę do wybuchu, a wtedy mury lub wieże się zapadały i w ten sposób powstawał wyłom, dający przystęp napastnikowi. Obleżeni podkopy takie same czynili, prowadząc je pod roboty oblegających, aby je zniszczyć. Często przeciwpodkopy miały na celu dobranie się do podkopów nieprzyjaciela, ażeby mu posuwanie się dalsze uniemożliwić, a wtedy nieraz staczano walki podziemne; najczęściej jednak, jeżeli się udało napotkać podkop przeciwnika, wykurzano go stamtąd za pomocą dymu.

W wiekach średnich posługiwano się podkopami takiemi samemi i dopiero między wiekiem XV a XVI zaczęto używać min prochowych. Wynalazł je podobno Hiszpan, Piotr Navarra, który w służbie weneckiej, w r. 1500, podczas oblężenia zamku St. Giorgis na wyspie Cefylonii miał pierwszą minę podłożyć w celu zrobienia wyłomu w murze.

Od początku XVI wieku miny rozpowszechniać się poczęły w Europie, a służyły początkowo tylko do wysadzania wyłomów w murach i wałach, później dopiero zaczęto ich używać i w sposób inny, mianowicie do ułatwienia sobie zbliżenia do twierdzy obleganej; obleżeni zaś posługiwali się niemi do niszczenia robót oblężniczych, urządzając przeciwpodkopy, których zadaniem głównem było burzenie podkopów oblegającego; w tym celu już z góry urządzano chodniki murowane pod stokiem twierdzy, z których łatwo było podkładać miny pod roboty oblegającego.

W XIX w. miny odegrały, pomiędzy innemi, wielką rolę podczas oblężenia hiszpańskiej Saragossy, gdzie wiarusi nasi tak dzielnie się odznaczyli i Sewastopola, oraz podczas wojny domowej północno-amerykańskiej, a na początku bieżącego wieku pod portem Artura w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Obecna artyleria udoskonalona w wielu razach użycie ich czyni zbytecznem; dotyczy to zwłaszcza wybijania wyłomów w murach i wałach, możliwego teraz już z odległości bardzo znacznych.

Miny zakładane też bywają w środku fortów, aby mieć możność wysadzenia ich w powietrze, gdy je nieprzyjaciel opanuje. Na krótko przed ostatnią wielką wojną wynaleziono „miny powierzchowne", wybuchające automatycznie, gdy nieprzyjaciel na nich stanął. Zakładają się bardzo płytko na przejściach wązkich, są bardzo skuteczne, zwłaszcza na wyłomach. Inżynier norweski, Daasen, skonstruował również na krótko przed wojną światową minę, którą nazwał fugasem-kartaczem. Każda taka mina waży,

ze wszelkiemi przynależnościami, 9 funtów i zawiera 400 kul, do zapalenia zaś jej potrzeba bardzo mało materiału wybuchowego, lecz nadzwyczaj wielkiej siły, również wynalazku Daasena. Wybuch wywołuje się za pomocą prądu elektrycznego, przechodzącego po giętkim przewodniku, który zakopuje się w ziemię wraz z fugasem. Przy lekkim nawet nacisku na miejsce, gdzie zakopany jest fugas, następuje zabójczy wybuch. Ów fugas ma formę cylindra, zakończonego z wierzchu stożkiem, a przewodnik urządza się z łańcucha, którego jeden koniec przytwierdza się do rurki wybuchowej fugasa, a drugi jest połączony z baterią elektryczną. Przy nacisku na grunt, podminowany baterią fugasów, łańcuch się wypręża, prąd elektryczny zaczyna działać i następnie wybuch, którego skutki są straszliwe.

Od roku 1918 aż do naszych czasów udoskonalono wszystkie wojenne narzędzia zniszczenia, przeto także miny bojowe. Jak niesłychaną siłę niszczącą one posiadają, okaże przyszła wojna.

Kronika Peowiacka.

Z życia peowiaków na pow. Świętochłowice-Chorzów

Chorzów-miasto. Nasza placówka również nie ustępuje w wytkniętem marszu naprzód — o potrzeby gospodarcze czy też polityczne w naszym życiu państwowym. Ostatnio odbyło się tutaj imponujące zebranie, które uchwaliło rezolucje, wzywające odnośne czynniki do zareagowania należytego wobec szykan i prześladowań, na jakie narażeni są nasi bracia pod rządami Hitlera. Wezwanie proponuje, by zastosować zasadę wzajemności odnośnie do panoszącego się u nas systemu niemieckiego, a będzie to najskuteczniejsza broń wobec Niemców, którzy zawsze jakiekolwiek objawy za dużej tolerancji z naszej strony, traktowali i nadal traktują jako słabość naszą.

Nowy Bytom. Onegdaj odbyło się zebranie peowiaków, które zgromadziło wszystkich członków i członkinie placówki. Żegnano bowiem dotychczasowego Komendanta placówki ob. Demarczyka Jana, przechodzącego na kierownika szkoły w Brzezowicach-Kamieniu. Miejsce komendanta placówki, przejmował znany na terenie Nowego-Bytomia i okolicy — były niepodległościowiec i dowódca Baonu Dworok Franciszek. Ustępującemu komendantowi Demarczykowi, który swą niezmordowaną pracą, pojętą w szerokim zasięgu społecznym — zaskarbił sobie nietylko u samych peowiaków, ale całego społeczeństwa miejscowego — dużą sympatię i uznanie, zgotowano serdeczną owację pożegnalną. Podkreślał jego wybitne zasługi naczelnik gminy obyw. Basista Paweł — referent oświatowy przy placówce peowiaków. To samo czynili i przedstawiciel Zarządu Okręgu Śląskiego Związku peowiaków porucznik Przybyłek Jan i sekretarz powiatu Limiński. Placówka peowiaków Nowego Bytomia jest w tem szczęśliwym położeniu, iż nie posiada u siebie żadnego bezrobocia. Te kilka wypadków, które w samem początku w tym kierunku zaistniały, zlikwidował odrazu komendant Demarczyk przy chętnej i zawsze życzliwej pomocy naczelnika gminy, tak, iż obecnie całe nasilenie pracy w placówce idzie ku tem większymu zespoleniu ideowym członków, w twórczej działalności aktualnych spraw państwowych i gospodarczych. Na pierwszy plan wchodzi zagadnienie obrony narodowej, powtóre i daleko już rozwinięte prace w kierunku Polskiej Organizacji Gospodarczej (P. O. G.). Prace P. O. G. prowadzone cierpliwemi i pionierskimi wysiłkami naczelnych władz Związku Peowiaków, natrafiają u dołów społeczeństwa śląskiego na szeroki oddźwięk. Widzi ono w posunięciach tych faktyczną chęć i wolę do zerwania z dotychczasowem marazmem, zakłamaniem i oszukiwaniem się samych siebie, na tym tak ważnym odcinku życia państwowego. Dlatego z pełnym zaufaniem deklaruje ono swoją gotowość do współpracy. Oby tylko czynniki kompetentne zechciały wreszcie odrzucić wszelkie w tem względzie hamulce i w skoordynowanym wysiłku wszystkich sił żywotnych, przystąpiły do wspólnej — zgodnej akcji na tem polu pracy, a pozbędziemy się napewno, od wieków nas trujących składników pasożytniczych, na naszem ciele państwowym.

Piekary Śląskie. Placówka Piekary Śląskie prowadząca jak dotychczas prym w powiecie, wykazująca największą żywotność i inicjatywę — na ostatnich swych dwóch posiedzeniach, żywo zajmowała się spra-

wą wmurowania tablicy pamiątkowej na Kopcu Wyzwolenia w Piekarach — tablicy, która upamiętnić ma historyczny zjazd peowiaków w dniu 12 lipca 1936 r. na Kopcu, na którym w potężnej liczbie 700 delegatów, złożone zostało ślubowanie na rzecz ideowej deklaracji Polskiej Organizacji Gospodarczej (P. O. G.), iż — nie poprzestawając na odzyskaniu niepodległości politycznej — peowiacy — wzywają całe społeczeństwo polskie do wytężonej i nieustannej pracy nad wywalczeniem niepodległości gospodarczej w naszej ojczyźnie, by przez to wzmocnić należycie obronność Państwa naszego, bowiem nigdy takowa nie może być jasna i zupełna przy przewadze finansowej i gospodarczej obcych elementów i żywiołów w Polsce. Wmurowanie wspomnianej tablicy miało nastąpić już w ubiegłej uroczystości 15-lecia wkroczenia wojsk polskich na Śląsk. Niestety komitet uroczystościowy główny i miejscowy tejże uroczystości zastrzegły sobie i uzależniły wmurowanie tablicy od orzeczenia i zezwolenia kierowniczych sił fachowych, prowadzących budowę kopca. Uważamy, iż w nadchodzącą wiosnę będzie można zrealizować wzniosłe poczynania peowiaków. Tablicę ufundowała placówka peowiaków Świętochłowice. Akcja P. O. G. na terenie Piekar, prowadzona energicznie już od blisko dwóch lat, skupiła około siebie blisko 80% miejscowych organizacji polskich, które zadeklarowały masowo swoją gotowość realizowania haseł i potrzeb tak aktualnych i koniecznych. Robota ta odniosła już też i w skutkach swych poważne rezultaty w terenie, aczkolwiek paraliżowana niejednokrotnie przez niedorozwinięte społecznie — jednostki kierownicze, co jednak na szczęście nie wywiera najmniejszego wpływu na całość akcji. Pracę tą zawdzięczać należy mrówczej i odpornej pracy miejscowej komendy peowiaków z jej komendantem Kocurkiem na czele. Ustalenie platformy zgodnej współpracy z jednej strony kupiectwa i rzemiosła miejscowego z wszystkimi odłamami społeczeństwa, powtóre podejście przesło do najaktualniejszych zagadnień i potrzeb naszych, stwarza również najlepszy sposób i do zjednoczenia obozu narodowego, o które apeluje się w naszym państwie.

Placówka Piotrowice Śl. Komenda Placówki Związku Peowiaków w Piotrowicach Śl. odbyła 3 bm. swe plenarne zebranie mies. przy bardzo licznym udziale członków i kandydatów. Zebraniu przewodniczył jak też odczytał okólniki tudzież zreferował aktualne sprawy organizacyjne i gospodarcze komendant placówki obywatel Alojzy Biczysko. Nad sprawami zreferowanymi przez przewodniczącego zebrania wywiązała się bardzo ożywiona i rzeczowa dyskusja, w której zabrali słowo m. i. obywatel Makosz, Poloczek, Hajduk i Gawlik. Jednocześnie wyrazili zebrani Komendzie Placówki na czele z jej komendantem Alojzym Biczyskiem podziękowanie i pełne uznanie za owocną działalność.

Nowe wydawnictwa.

JANUSZ IGNASZEWSKI: **„Przemiany Strukturalne w Hutnictwie Żelaznym."** Rozprawa ta porusza bardzo aktualne zagadnienia w dziedzinie przemysłu hutniczego. Oto wnioski autora:

„W hutnictwie żelaznym szeregu państw dokonuje się obecnie ważki proces przebudowy technicznych i gospodarczych zrębów tej kluczowej gałęzi wytwórczości, którego następstwem będą poważne przesunięcia w dotychczasowym układzie sił na międzynarodowym rynku żelaza.

Doniosłość zadań, jakie hutnictwo żelazne spełnia w organizmie gospodarczym Polski sprawia, że problem ten, od dawna żywotny, skupił na sobie uwagę wszystkich zainteresowanych czynników i wkracza obecnie na tory wiodące do programowej jego realizacji.

Plan reorganizacji hutnictwa polskiego wymaga koncepcji własnych, dostosowanych do istniejących w Polsce warunków, jednakowoż nie należy w tym względzie pomijać doświadczeń, poczynionych zagranicą, które niejednokrotnie mogą oszczędzić zbędnych, lub też zawodowych wysiłków."

Rozprawa Janusza Ignaszewskiego, jak wszystkie jego inne prace, które okazały się drukiem, odznacza się wytwornością stylu i formą przystępną. Do nabycia u autora — Syndykat Polskich Hut Żelaznych w Katowicach.

OD REDAKCJI.

J. R. w Siemianowicach. — „Deklamacji", niestety umieścić nie możemy, ponieważ nie nadaje się do druku. Chętnie umieścimy Waszą pracę, ale radzimy zaniechać wierszowania, a pisać prozą. Cześć!

Jan Jakub Kowalczyk.

ORACZE

Powieść z czasów budzenia ludu śląskiego z letargu narodowego.

Rozdział I.

Pielgrzymi.

Roku wiosny narodów!

Roku brzemiennych nadziei!

Roku szalejącego zapału i niebotycznych porywów, zmierzających ku przeistoczeniu skostniałych porządków politycznych i społecznych na rzecz rozhukanego na wzór młodocianego centaura ludowładztwa!

Roku 1848-my, tak radosny i zapalający do bohaterskich czynów ludy zachodniej i środkowej Europy, czem byłeś dla ludu górnośląskiego?

Jak wielką jest przepaść między niebem a piekłem, jak ogromną różnica między najwyższą radością a najskrajniejszą rozpaczą, tak ty, o pamiętny roku czterdziesty ósmy, tamte ludy wyniosłszy na szczyty nadziemskiego upojenia, pogrążyłeś lud górnośląski w otchłań najstraszniejszych klęsk, jakie kiedykolwiek dotknąć mogą społeczność ludzką, bo chłostałeś go głodem i morem, a potem zesłałeś na niego nieubłaganą gasicielkę ducha — zimną i nieczułą jak śmierć, zobojętniałą na wszystko apatię.

Już twoi dwaj poprzednicy, o roku straszny, siali swymi nieustannymi pluchami i ulewami zarzewie nieurodzaju, przygotowując wygodne podłoże dla czyhającego w ukryciu głodu, a gdy ostatni z nich schodził do grobu, zabrał z sobą z samego powiatu pszczyńskiego przeszło tysiąc osób, zamorzonych głodem i siedem tysięcy, strawionych gorączką tyfusową. Z taką samą zajadliwością szalał w powiecie rybnickim, przenosząc zarazę do innych powiatów polskich po prawym brzegu Odry, szemrzącej żałosną pieśń o braci słowiańskiej, osiadłej wzdłuż jej górnego biegu i cierpiącej od wieków katusze prześladowania i wynaradawiania.

Ty sam zaś, roku-morderco, wyprawiłeś w zaświaty kilkanaście tysięcy ofiar głodu i moru, zostawiając po zmarłych rodzicach na pastwę losu i na poniewierkę kilkakroć większy zastęp bezradnych sierotek.

Gdyś wreszcie, o roku okropny, zaniechał szaleństwa morderczego, skłoniwszy serca dobrych ludzi do spieszenia dotkniętym z pomocą, skrępowałeś lud śląski kajdanami bezwładnej rezygnacji i prawie powszechnej w jego nizinach apatii dla wypadków politycznych na szerokiej arenie światowej.

Nie mogło być inaczej, gdyż było to tylko następstwo fizyczne i logiczna konsekwencja nadmiernych cierpień, które wyczerpały doszczętnie siły fizyczne i duchowe tego dzielnego ludu, którego przodkowie pod koniec ośmnastego i na początku dziewiętnastego stulecia pięciokrotnie zrywali się do krwawych rozpraw ze swymi gnębicielami politycznymi i społecznymi, by wywalczyć sobie znośniejsze warunki bytu.*) Teraz, gdy leżał zdziesiątkowany zarazą morową, wyczerpany głodem i zgnębiony cierpieniami, nie stać go było na zbiorowe odruchy wolnościowe. Leżał powalony, jak powywracane huraganem kłody leśne, niezdolny do czynu i zobojętniały na swą dolę, jedynie rozglądając się za nędzną strawą, której mu dostarczały chwasty polne, jagody i korzonki leśne.

Tak bezdennie smutna i nieograniczenie rozpaczliwa była w tym roku dola polskiego ludu górnośląskiego.

Ona też stanowiła przedmiot rozmowy dwóch młodzieńców, maszerujących żwawym krokiem drogą leśną, prowadzącą z osady fabrycznej Zawadzkie w powiecie strzeleckim przez Kośmidry ku Solarni w powiecie lublinieckim.

Była może godzina czwarta rano, gdy się zbliżali do tej wioski, gdyż wschodzące właśnie słońce przebijało się swymi złocistymi promieniami poprzez gęstwinę krzewów i konarów, przygaszając srebrny blask księżyca, który młodym wędrowcom dotąd oświecał drogę, malując przed ich oczami rozmaite widziadła, niby zaklęte w głębinie lasu upiory i duchy pokutujące, przyoblekzone w najdziwaczniejsze kształty i postacie. Wszystkie te mamidła poznikały, skoro słońce wychyliło swój złoty krąg i rozproszywszy sine mgły, odsłoniło przed oczami młodzieńców całą krasę sędziwych świerków, jodeł, modrzewi, cisów i skupiającej się u ich podnóży gęstwy przeróżnych krzaków, w których rozgłośnym świergotem, gwizdaniem i śpiewem ptactwo zaczęło wznosić swe pienia poranne.

Był to jeden z tych naszych przecudnych dni wiosennych, kiedy drzewa liściaste i krzaki przyoblekają się w jasną zieleń listowia, wylaniającego się z kleistych burych pączków, zdobiąc równocześnie podszycie leśne śnieżną bielą lub czerwonawym różem rozpączkowanego kwiecia. Świerki i jodly, niby pracowite prząśniczki, ciemną zieleń swych rozgałęzionych ramion przyozdabiały seledynowym ubarwieniem nowych pędów iglastych, wydzielając z przesyconej sokiem kory i z iglic upajający zapach żywiczny, który wędrowcom rozpierał piersi, napawając ich jakąś nieokreśloną tęsknotą, przynaglającą

*) O strasznej nędzy ludu górnośląskiego w owych czasach i o jego buntach pisze w swej powieści: „Zbójnik-Opiekun". Autor.

ich do szybszych kroków. W końcu jednak jednego z nich ogarnęło znużenie. Nie mogąc nadążyć za przyjacielem, zawołał:

— Nie pędźmy tak, Julu, jak szewcy na jarmarki W krótce zabraknie mi tchu, jeżeli nie zwolnisz kroku. Patrz, pot ciecze mi ciurkiem po twarzy. Musimy zwolnić, bo nie wytrzymam.

Hamujący nadmierną werwę przyjaciela młodzian był średniego wzrostu i wątłej budowy, zdradzającej wycieńczenie przedwczesną ciężką pracą. Patrzał w oblicze towarzyszowi, który właśnie odwrócił się do niego, szczerymi szaro-niebieskimi oczami, zdradzającymi bystrego myśliciela i wielkiego idealistę. Jego pociągła blada twarz, ozdobiona żółtawym wąsikiem, i spracowane twarde jak garbowana skóra dłonie wskazywały na to, że musi być rzemieślnikiem albo robotnikiem fabrycznym, zajętym, jak dzień długi, przy warsztacie a wskutek tego pozbawionym ożywczych promieni słonecznych.

— Czyżbyś naprawdę już był zmęczony, Julku? — zapytał Jul. Był to barczysty, również średniego wzrostu młodzieniec, z którego zdrowie „jeno tryskało", jak lubili wyrażać się o nim przyjaciele i znajomi. Był gładko wygolony i gdyby nie ubranie cywilne, byłoby można sądzić, że to student czy kleryk, przygotowujący się do stanu kapłańskiego.

— Jeśliś zmęczony, — ciągnął dalej, — moglibyśmy wypocząć na chwilkę.

Wyjąwszy z kieszeni duży jak cebula zegarek niklowy i spojrzawszy na niego, dodał:

— Wyszliśmy o trzyćwierci na drugą z Zawadzkiego, teraz jest ćwierć na piątą. Maszerujemy więc dwie i pół godziny bez przerwy. Należałby się nam krótki wypoczynek.

— Wolałbym, żebyśmy doszli aż do Solarni i tam gdzieś na skraju wsi odpoczęli. Trawa jeszcze mokra i usiadłszy na niej rozgrzani, jak jesteśmy, moglibyśmy się łatwo zaziębić. Przynajmniej u mnie o podobną rzecz nietrudno. Wszak całodzienna robota, wyziewy fabryczne i kurze, — jak dobrze wiesz, — nadwątliły mi zdrowie. A nie chciałbym umierać, bo jakiś głos wewnętrzny bezustannie mi szepce, że jestem tu potrzebny i że muszę energicznie pracować nad uświadamianiem naszych pogrążonych w ciemnocie rodaków.

— Podzielam twe zdanie! — odparł barczysty Jul. — Lepiej być ostrożnym i nie wywołać choroby jak wilka z lasu. Mnie bo by tam wypoczynek na wilgotnej trawie nie zaszkodził. Małoż to razy spałem w życie lub pod kopką siana, mając za nakrycie firmament niebieski, gdy wracałem z Gliwic na feryje albo udając się odwrotną drogą z Zawadzkiego do gimnazjum. W każdym razie ty, Julku, musisz się mieć na baczności po twym niedawno przebytym zapaleniu płuc.

— Idźmy spokojnie dalej! — radził Julek. — Zwolnijmy tylko kroku, żebym nie musiał tak gwałtownie pędzić za tobą. Do Lubszy jeszcze kawał drogi, bo ojciec mi mówili, że dostawszy się do Solarni, mieć będziemy za sobą dopiero trzecią jej część. Tam usiadłszy na jakiej zwalonej kłodzie, będziemy mogli wypocząć z pół godziny i zjadłszy śniadanie, puścić się w dalszą drogę.

— Idźmy więc zwolnionym krokiem dalej! — rzekł Jul. — Solarnia musi być gdzieś niedaleko. Czy tam zajdziemy o ćwierę godziny wcześniej czy później, nic nam to nie zaszkodzi. „Przeca żoden nas nie goni", powiadają słusznie nasi ludzie.

Szli tedy dalej gęsiego, ścieżką przydrożną, wzdłuż skraju lasu, długim oddechem wciągając w płuca ożywczy zapach żywiczny i rozkoszując się wonią kwiatów.

— Wczoraj dostałem najświęższy numer „Dziennika Górnośląskiego", — podjął rozmowę Julek. — Redaktor Łepkowski opisuje tam swe wrażenia z podróży po powiecie pszczyńskim i rybnickim, ognisku głodu i moru. Powiadam ci, Julu, nie mogłem powstrzymać się od łez, czytając ten opis nędzy i nieszczęścia. Niektóre wioski literalnie powymierały. Okna w chatach są pozabijane deskami, szkielety wychudłych psów włóczą się po zagrodach, gdzieniegdzie słychać bolesny ryk głodnego, zaniedbanego bydła, któremu, podobnie jak ludziom, grozi zagłada, bo niema nikogo, ktoby mógł się nim zaopiekować. W Baranowicach opodal Żorów redaktor był naocznym świadkiem rozdawania mąki i chleba między głodnych z całej okolicy. Tamtejszy właściciel dworu i landrat rybnicki, baron Durant, sprowadził ją własnym kosztem aż z Prudnika. Długie rzędy mężczyzn, kobiet i dzieci czekały na swą kolej cierpliwie, ale na twarzy malował im się strach, czy też starczy dla nich tej niewidzianej oddawna żywności. Wszyscy byli wymizerowani i wychudli jak szkielety, odziani w najniemożliwsze łachmany, sini na twarzach, z zapadłymi i zgasłymi oczami, podobni raczej do ziemi, po której stąpali, niż do istot ludzkich. Usta wszystkich były nabrzmiałe, ręce i nogi spuchnięte w stawach. Te tylko znamiona odróżniały ich od prawdziwych kościotrupów. Baron sam prowadził nadzór nad rozdawaniem żywności, przydziela-

jąc każdemu według liczby członków rodziny, którą kto reprezentował. Ludzie, otrzymawszy swe porcje, podchodzili do barona i upadłszy na kolana, całowali mu ręce i nogi, szlochając rzewnie i mamrocząc słowa podzięki za wyrządzone im dobrodziejstwo.

— Czy wszyscy dostacz mąkę? — zapytał baron łamanym narzeczem śląskim, rozglądając się po zgromadzonych.

Wysunął się naprzód z tłumu „podrostek" Paweł Mrowiec. Zdjąwszy z głowy jakieś cudaczne nakrycie, co miało przedstawiać podziurawiony i postrzępiony kapelusz i stępując z nogi na nogę przed baronem, rzekł śmiało:

— Prosza waszmości jegomościnka! U Lasków i Faruzelów wszyjscy do jednego są nimocni i ni mo jim chto przyniyś tej mółki.

Nato baron do swego parobka:

— Franz, zanieszesz chleb do Laska i Faruzel!

— Dobrze, jegomościnku!

— Panoczku przedobry! W Osinach też w pięciu chatach nima nikogo, coby móg stać z łóżka i jiść po mółkę! — wołał ktoś od samego końca.

— Johann! Jisz do Oszin i zaniysz pięcz pecenków dla nimocnych! — brzmiał rozkaz barona.

— Długo możnaby opisywać i przytaczać na ten temat rozmowy barona z poddanymi, — pisze p. Łepkowski. — Niestety, zapewnia także, że tego pokroju właścicieli majątków rzadko gdzie spotkał w czasie swego objazdu. Reguła jest zazwyczaj taka: Ludzie głodują, chorują i umierają masowo jak muchy po św. Michale. Tyle trumień, wiezionych każdodziennie na cmentarz, świat już chyba dawno nie widział.

— Zaiste, straszna to klęska! — potwierdził maszerujący na czele Jul. — Zachowaj nas, Boże, by i do naszych stron nie przyszła zaraza.

Nagle, patrząc przed siebie, przystanął.

— Patrzaj-no, Julku! — zawołał. — Las się przerzedza i widać już między drzewami rozrzucone chaty. Jesteśmy w Solarni.

— To dobrze, bo już mi się ściga*). Muszę wypocząć.

Doszedłszy nad skraj lasu, młodzi wędrowcy rozsiedli się na rozłupanych drewnach, złożonych w sążnie i wyjąwszy z kieszeni chleb, zabrali się do posiłku porannego, czerpiąc dłonią wodę z pobliskiego strumyka i pokrzepiając spragnione usta i gardła.

— Julu, spójrz tylko, co hań za dziwny orszak posuwa się ku jakiemuś oploceniu! — zawołał Julek, wskazując ręką w zauważonym kierunku. — Widzi mi się, jak gdyby ludzie wieźli na wozach i tragaczach**) trumny i trumienki. Czyżby już także Solarnię nawiedziła zaraza morowa?

— Zdaje mię się zgadzać z prawdą twój domysł, Julku! Rozróżniam wyraźnie po jednej trumnie na każdym z pięciu wozów i po dwie trumienki na każdym z czterech tragaczy. Jadą ze zmarłymi dorosłymi i z dziećmi na cmentarz, bo owo opłocenie niczym innym być nie może jak cmentarzem.

Młodzieńcy jak na komendę zerwali się na nogi i przysłonili rękami oczy, by mogli dokładniej przyjrzeć się ponuremu orszakowi. U Julka nawet znikło zmęczenie. Obaj spakowali czymprędzej chleb do kieszeni i ruszyli do wsi, by się dowiedzieć, odkąd grasuje w niej zaraza. Udali się na cmentarz. Nadeszli właśnie na chwilę kolejnego spuszczania trumien i trumienek do wspólnej mogiły. Trumny były zbite niedbale kołkami drewnianymi, widać, w wielkim pośpiechu, deski były nieheblowane. Na płaskim wieku każdej widniał biały krzyż, z gruba namalowany gaszonym wapnem. Przygodni grabarze poustawiali je rzędem obok siebie na dnie płytkiego grobu, po czym zabrali się do ich zasypywania, gdy reszta orszaku pogrzebowego przyklękła dla zmówienia pacierza na pożegnanie. Ceremonia była krótka, ale przerażająca. Nikt nie tracił niepotrzebnego słowa, tylko głębokie wzdychy mężczyzn, głośne szlochy i urywane jęki kobiet znamionowały, że nieubłagana śmierć wydarła im ukochane drogie istoty.

Julek przystąpił do pierwszego z brzegu mężczyzny, by go zapytać, kogo pochowano.

— Trzy matki, dwóch ojców i ośmioro dzieci le-

*) Zwrot ten znaczy w narzeczu śląskim tyle co „już mi brak sił."

**) „Tragacz" — ręczny wehikuł do popychania. Dolna jego część podobna jest do noszy, do których przedniej części przymocowane jest kółko. Tuż za kółkiem i pochyło nad nim znajduje się druga pionowa drabinka tej samej szerokości co dolna o równie jak ona szerokich płaskich szczeblach. Tragacz jest o wiele ładowniejszy niż taczka albo „kara", widocznie z niemieckiego „Karre". Do taczki lud śląski ładuje przedmioty sypkie, jak ziemia, piasek etc., gdy na tragaczu przewozi worki, snopki słomy, wiązki siana itp. Tragaczami także biedacy bezkonni przewozili trumienki na cmentarz.

ży w tym spólnym grobie. Spoczęli se razem na wieki. Ja, ja! Dzisiok jich, jutro nas! —

— Czy dużo we wsi chorych?

— Chneda we wszystkich chałupach tyfus, paniczku! Jużechmy pochowali szesnościoro, a mór jidzie i jidzie. Może wymrze cało wieś, a łostatnich nie bydzie mioł chto pochować. Porności! Tako już wulo bożo. Trza sie z niom pogodzić!

Powiedział i odszedł ku swemu tragaczowi, którego kółko, niesmarowane od niepamiętnych czasów, skrzypiało i gwizdało przeraźliwie, jak gdyby chciało wygrywać pieśń pożegnalną dla odwiezionych na cmentarz ofiar zarazy.

Młodzi nasi wędrowcy, przygnębieni widokiem tylu trumien i wieścią o grasującym w Solarni tyfusie, stracili ochotę do dłuższego pozostawania w tej wiosce i udali się niebawem w dalszą drogę. Dopiero po pewnym czasie, gdy już wioskę pozostawili za sobą, rozsiadłszy się na skąpanej w słońcu polanie, zabrali się do kontynuowania przerwanego posiłku porannego. Apetyt jednak przepadł im po odniesionych przykrych i nad wyraz smutnych wrażeniach. Po krótkim więc wypoczynku, powędrowali dalej ku wschodowi.

Gdy około godziny 8-ej rano przechodzili przez Rusinowice, spotkali gromadę ludzi, wracających z cmentarza. Dowiedzieli się od nich, że także tę wioskę nawiedziła zaraza. Podobne wieści dosięgły ich także w następnych miejscowościach, przez które przechodzili. Z bardzo wielu chat wiały chłodne pustki i pełne grozy opuszczenie. Inwentarz żywy, o ile nie pozdychał z głodu w czasie choroby właścicieli, pozabierali sąsiedzi i pozostali krewni, nie wiadomo, na jak długo. Gdzieniegdzie rozlegał się żałosny ryk bydła, jakby wołającego błagalnie o pomoc. Nikt się jednak nie ruszył, by je spuścić z powrozów i wypuścić na bujnie rosnącą trawę. Właściciele albo leżeli złożeni ciężką niemocą, albo też trupy ich rozkładały się na ciepłym majowym powietrzu. Naszych wędrowców często gęsto dolatywała nieprzyjemna woń, gdy mijali chaty, położone blisko drogi. Niemieli jednak odwagi stwierdzić, czy pochodziła od rozkładających się trupów albo też od kadawrów bydlęcych. Nigdzie nie było widać przedstawicieli władzy, którąby chciała czuwać nad porządkiem i higieną. Każdy robił, co i jak chciał, bo władze miały „ważniejsze" rzeczy do załatwienia. Wypadki polityczne interesowały snać więcej panów i wszędobylskich żandarmów, niż grozą przejmujący pomór tysięcy i tysięcy ludu polskiego. Niech tam sobie umierają te „polskie świnie", myślał niejeden w duszy. Będzie więcej miejsca na przyszłość dla kolonistów niemieckich. Tacy właściciele ziemscy i piastunowie władzy państwowej na wsi jak baron Durant na Baranowicach albo właściciel dóbr majorackich Karol Kosicki na Wielkich Wilkowicach pod Tarnowskimi Górami, byli prawieże białymi krukami w tej czarnej czeredzie ludzi bez serc i sumień. Lud głodował i umierał. Umierał jak te listki spalone podczas pożaru, otaczające i osłaniające pańskie dwory i pałace. Cicho i bez szemrania schodził do grobu, który niejeden biedak uważał za wybawienie z doczesnego piekła. Tylko najzdrowsi i najodporniejsi pozostali przy życiu, aby w przyszłych latach stanowić pognój dla rozwijającego się wielkiego przemysłu albo też wychować pokolenie, które miało dzięki zrządzeniu Opatrzności wywalczyć przynajmniej części ziemi górnośląskiej połączenie z Macierzą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rękopisów redakcja nie zwraca. — Redaktor przyjmuje w każdą sobotę w godz. od 4—6 popołudniu.
Adres redakcji i admin. „Placówki" Katowice, Ks. Damrota 8, III. — Konto P. K. O. 302 603 Katowice.
Odpowiedzialny wydawca-redaktor: Józef Grzegorzek, Katowice, ul. Ks. Damrota 8.
Drukarnia Antoniego Gorzelika i Jana Wąsika, Katowice, ul. Kościuszki 39. — Telefon 302-19.

-196-